

„Auschwitz a postrzeganie współczesnego świata”

Aleksandra Wanat - Zespół Szkół Zawodowych Twarzystwa Salezjańskiego w Oświęcimiu

W sali było jedynie słycać zachrypnięty głos zakłopotanego i poruszonego pana profesora, który został zobowiązany do przekazania nam tych okropnych wieści. Nikt z obecnych nie chciał ich usłyszeć, a tym bardziej dopuścić do świadomości.

— Wasyl nie powróci już na żadne zajęcia. Niech śpi spokojnie i niech ma nas wszystkich w opiece. Jego poświęcenie nie może pójść na marne, a pamięć o nim nie może zaniknąć.

Wszyscy wiedzieliśmy, co to znaczy. Nikt nie musiał się odzywać, wymowna cisza sama w sobie była odpowiedzią, która wyrażała więcej niż jakiegokolwiek słowa wymówione w obecnej sytuacji. Profesor z trudem podjął się kontynuowania tematu zajęć dalej, ale w mojej głowie panował chaos i żadne kolejne wypowiediane przez niego słowa do mnie nie docierały. Starłam się zahamować łzy, ale mój umysł zalewało jedno wspomnienie z niespełna miesiąca wcześniej.

Stałam z Wasylem na korytarzu, zalana łzami, kiedy powiedział, że jedzie się bić, że musi, to jego obowiązek i przyszedł się tylko z nami pożegnać. Przytulałam go długo, tak jak każdy z grupy, i nie chciałam puścić.

— Wrócę, obiecuję — powiedział z lekkim uśmiechem, starając się dodać nam otuchy, mimo tego, że to on potrzebował jej najbardziej z nas wszystkich.

Kiedy odchodził, nie odwrócił się spojrzeć na nas ostatni raz i pomachać na pożegnanie. Miał ważniejszy cel i wiedział, jak ma postąpić. Nie chciał, by coś go powstrzymało.

Teraz wszyscy wiedzieliśmy, że nie wróci i musieliśmy, choć bardzo nie chcieliśmy się z tym pogodzić.

Sala prawie opustoszała, gdy zorientowałam się, że koniec zajęć właśnie dobiegł. Ostatkiem sił, wstałam z krzesła i zgarnęłam swoje rzeczy do torby, opuszczając z ciężkim westchnieniem pomieszczenie. Wyszłam z budynku i momentalnie oślepiło mnie słońce, które od rana świeciło w swojej pełnej okazałości, a dookoła było słycać śmiechy i radosne rozmowy przechodniów.

Nagle ogarnęła mnie złość, a smutek i rozpacz odeszły na dalszy plan. Dlaczego słońce świeci tak mocno oraz dzień jest tak piękny i ciepły, kiedy wydarzyła się taka tragedia? Kimże ja jestem i czym sobie zasłużyłam na to, by móc cieszyć się wolnym popołudniem, kiedy inni ludzie zastanawiają się czy dotrwają ranka? Dlaczego ten obojętny świat nie może zatrzymać się na chwilę i oddać hołd młodemu człowiekowi, który mimo tego, że wiedział, że przegra, to walczył do samego końca?

Przyspieszam kroku i zmierzam do parku, w którym zawsze przesiaduję po zajęciach, by trochę odpocząć. Dalej czuję niewytłumaczalną złość, do której dochodzi jeszcze gorsza bezsilność.

Wręcz palące moje plecy słońce wciąż przypomina o swojej obecności, a ja staram się skupić na lekturze, którą mam na jutrzejsze zajęcia. Wokół mnie biega i bawi się gromadka dzieci na placu zabaw, gdzieś ludzie spacerują ze swoimi pupilami lub grupy nastolatków spędzają razem swój wolny czas po lekcjach.

Po mojej lewej stronie dwie dziewczynki bawią się lalkami, przy okazji rozmawiając, kiedy jedna z nich mówi:

— Dom... Chcę wrócić do domu.

— Zawołam mamę i możemy wracać — odpowiada od razu druga.

— Nie. Ja... Ja chcę wrócić do swojego domu — tłumaczy pierwsza. — Ale mama powiedziała, że na razie tu jest nasz dom.

— Kiedy będziecie mogli wrócić do swojego domu? — pyta zaciekawiona, przerywając zabawę lalkami i oczekując odpowiedzi.

— Nie wiem. Mama powiedziała, że źle się dzieje na świecie. Nie możemy dlatego mieszkać w swoim domu... Tak jak wy tutaj. Powiedziała, że mam się nie przejmować, tylko uczyć się i bawić, póki mogę, bo tutaj jest dobrze. Tak powiedziała, że jest... Po prostu dobrze.

Nie usłyszałam odpowiedzi drugiej dziewczynki, ponieważ jej mama zawołała obie i po chwili nie było po nich i ich lalkach śladu. Ta rozmowa poruszyła mnie, ale również zmroziła krew w żyłach. Chciałam mocno uściskać tę dziewczynkę, która nie może wrócić do swojego domu, tak jak Wasyla, ale nie wiedziałabym, co jej powiedzieć. Wszystko będzie dobrze? Nie martw się, jakoś się ułoży? Przecież nie mogłam jej obiecać takich rzeczy, w które sama nie potrafiłam uwierzyć.

Szybkim ruchem zamykam książkę i wstaję, udając się do wyjścia z parku. Zanim przekroczyłam bramkę, słyszę jeszcze rozmowę grupy nastolatków.

— Jeśli trzeba będzie walczyć, to będę — odważnie oznajmia jeden z chłopaków. — Nie można tak siedzieć beczynnie i obserwować biernie, martwiąc się tylko o swój los.

— Ja też chcę walczyć! — krzyczy dziewczyna naprzeciwko niego. — Mam siedzieć w domu i zamartwiać się o bliskich? O, nie! Wolę być tam razem z nimi.

— Zgadzą się z Mariną! Nieważne gdzie, ważne że razem — potakuje kolejna osoba.

— Należy sobie pomagać nawzajem, chyba to jest najważniejsze.

Rozmowa z każdym moim kolejnym krokiem cichnie, a ja podziwiam odwagę i pewność siebie tych młodych ludzi. Pewnie należą do nielicznej grupy, która jest w stanie poświęcić tak wiele, a nawet wszystko dla swoich rodzin, jak również zupełnie obcych ludzi.

Jestem od nich niewiele starsza i przebiega mnie dreszcz po plecach, kiedy zaczynam rozmyślać, ile ja byłabym w stanie poświęcić i czy w ogóle byłabym zdolna do jakiegokolwiek poświęcenia dla kogokolwiek? Czy zrobiłabym to automatycznie, bez sprzeciwów i patrzenia za siebie? Czy może starałabym się znaleźć jakąś drogę ucieczki, jak najdalej od tego wszystkiego, byle uratować siebie?

Nie potrafiłam znaleźć konkretnej odpowiedzi na to pytanie.

Idę dalej, uliczkami w centrum miasta zapełnionymi ludźmi, gdzie każdy z nich pędzi w swoje strony, nie oglądając się na drugiego. Zatrzymuję się na przystanku autobusowym, na którym stoją również para nastolatków, która poza sobą nie widzi reszty świata i jeden starszy pan, który nerwowo stąpa z nogi na nogę. Wpatruję się w przejeżdżające samochody, wypatrując nadjeżdżającego autobusu.

Dopiero po chwili zauważam, że przystanek jest oklejony w różne plakaty nawołujące do miłości, szacunku, braku agresji i nienawiści do drugiego człowieka i wiele innych. W myślach zastanawiam się,

czy kiedyś spojrzenie na zwykły, prosty rysunek przekazujący ważne wartości był w stanie zmienić całkowicie postrzeganie człowieka.

Jakby ktoś czytał mi w myślach, słyszę głos za sobą:

— Kiedyś malowano takie wszędzie, było ich zdecydowanie więcej i nie patrząc na konsekwencje, ale jakoś bardziej je sobie brano do serca. Teraz to cud, kiedy w oknie wisi flaga!

— Co pan o tym myśli?

— Co ja myślę? Myślę, że dopóki problem nie dotknął kogoś osobiście, nie zrobi nic. Samo rozumienie i potakiwanie głową nic nie wskóra. Każdy patrzy na siebie i kiedyś nie było lepiej, bo to nigdy się nie zmieniło.

Oboje milczymy przez chwilę.

— Wie pani, kiedyś nie patrzyłem na innych. Najpierw przyszli po Żydów, potem po komunistów, następnie po socjaldemokratów i związkowców. I wie pani, co zrobiłem?

— Co pan zrobił? — pytam zaciekawiona.

— Nic. Nie zrobiłem absolutnie nic — mówi gorzko, nie patrząc mi w oczy. — Nie byłem przecież związany z żadnym z nich, to nie musiałem przecież protestować. A wie pani, co było dalej?

— Co było dalej?

— Przyszli też po mnie — bierze głęboki oddech i patrzy mi w oczy, w których widzę mnóstwo emocji, które do tej pory są zgromadzone w tym mężczyźnie. — Ale nie został przecież już nikt. Nie dało się więcej już zrobić. Nie miał kto protestować.

Mężczyzna ociera pojedynczą łzę spływającą po policzku i kontynuuje:

— Zabrali wszystko, co miałem, obdarli z ubrań i pobili, kiedy się stawiałem i chciałem zawalczyć o resztki swojej godności. Ale tam, gdzie trafiłem, oni nie znali czegoś takiego. Pamiętam rozdierające serce wrzaski dzieci zabieranych od matek i smugi dymu unoszące się nad nami, przysłaniając niebieskie niebo, gdzie życie toczyło się, jak gdyby nigdy nic. A oni byli bezwzględni nawet wobec dzieci, zostali stworzeni, jedynie po to, by wypełniać puste rozkazy, które zaważyły na losach ludzkości i odciskają swoje piętno na nas po dzisiejszy dzień.

Ponownie milczymy. Starszy pan nagle kładzie na moje ramię swoją pomarszczoną dłoń, na której wewnętrznej stronie widzę szereg cyfr wybijających się na tle jego bladej skóry. Na koniec dodaje:

— To starzy ludzie wypowiadają wojny, ale to młodzi muszą w nich walczyć i umierać. Nie zmieniło się to od wieków, ale może kiedyś, ktoś mądrzejszy od nas wszystkich coś na to zaradzi. Trzeba mieć nadzieję.

Kiwam głową zgodnie, mając takie same oczekiwania, jak on. Ściskam mocno jego dłoń, starając się nie myśleć o napływających do moich oczu łzach.

— Na mnie już czas. Na każdego przyjdzie czas.

Żegna mnie takimi słowami i pozwala im opaść w najdalsze zakamarki mojego umysłu, bym zawsze o nich pamiętała. Patrzę w dal, dopóki nie zniknie z zasięgu mojego wzroku i dopóki nie nadjedzie wyczekiwany autobus.